

Anna Wojciechowska-Żurek

Wystawa grafiki Zdzisława Beksińskiego w Galerii Gardzienice, 1 X 2009

W dzień wernisażu wielki tłum. Kolejka ciągnie się jeszcze na dworze. Przychodzimy więc później. Kolejka co prawda mniejsza, ale tłum ludzi wewnątrz. Ciemno i duszno; ta duchota wylewa się za drzwi. W środku część stoi jak kamienne posągi wpatrzona w ekran, gdzie wyświetlany jest materiał filmowy, część ruchem robaczkowym przesuwają się wzdłuż czarnych ścian, by cośkolwiek dojrzeć na skrawkach pożółkłego papieru. A na nich gromadzą się maleńkie postaci: niciane, wrzecionowate, o zaropiałych, przymkniętych powiekach. Patrzą jak na intruza, z zaciekawieniem. Albo w ogóle nie patrzą, uciekają wzrokiem. Postaci narysowane w latach 60-tych, które tyle już doznały, a jakby ciągle jeszcze przerażały je tłum, jakby wciąż perwersyjnie igrały za filarami, bawiły się w lubieżny ekshibicjonizm. Bezwstydnie się prężą lub kurczą. Rozprężają na żółtej powierzchni kartki. Kompresują w gmatwaninę linii. Czamy długopis,

tusz kreślarski - jak żywa materia. *Miałem w latach 60-tych taki okres erotyczny. Chodziło głównie o rysunki. Wówczas polskie wyobrażenie erotyzmu to była tłusta blondynka i pół litra, a ja rysowałem erotyki z kręgu sadomasochizmu. Nieco zakłamanie, bo wstydziałem się obnażać do końca.* – mówi Beksiński na kartach folderu z wystawy. Każdy taki folder dostaje i każdy może zabrać sadyzm i masochizm Beksińskiego do domu. Ale są też matki i ich płody oprócz tego sado-maso. Choć nagie, to jednak matki: rodzące i wyszydzane przez kolektyw za plecami. Nieładnie się tak bawić – tu karzące matrony w skórze i z pejczem, obok – maleńki chłopiec. Albo skarłowaciały mężczyzna. Emanacja i pulsacja. Naprzemiennie. Ranimy ich: matrony, oprawczynie, walkirie. Albo oni ranią nas: a więc rodzące matki i kolektyw, wystraszone dzieci, mężczyzna z dziobem patrzący gdzieś w bok, ustawiony za pręgierzem jak gdyby, twarze – maski. Nie ma tu samotności ani nie ma ciszy. Jest coś, co karze patrzeć. „Patrz na mnie!” Na oczy; oczy, które

zdają się już nie istnieć albo spływać po policzku jak łza. Jest coś, co pulsuje, przeskakuje od jednej synapsy do drugiej. Coś, co grzechocze, coś co niesłyszalnie szemrze. Coś, co wiemy, że jest a czego nie umiemy sprecyzować. Dotknąć. Te postaci... zmuszają nas do patrzenia. Zza szybki antyramy. Wyłaniają się z czerni ściany jak szklany domek, wewnątrz którego brzęczy życie: cicho, podprogowo, niewyczuwalnie. Irytująco acz przyjemnie. „Patrz, bo gdzie indziej mnie nie zobaczysz.” Klatki pamięci. Pudełka ze szkła z chorą zabawą w środku. To nam się podoba, na to chcemy patrzeć. Po to ustawiamy się w krętych kolejkach, my – nienasyчени odbiorcy perwersji. Ja, nienasycona wyobraźniowego delirium.

